

PROFESOR JULIUSZ (1942–2024)

Prawie każde wspomnienie o Osobie, która odeszła, której doczesne życie dobiegło kresu, eksponuje także wspominającego. I chyba nie ma na to rady, taki jest mechanizm naszej pamięci, a zatem i wspomnień. Obiecuję jednak dołożyć starań, żeby to, co poniżej, było o Juliuszu Chrościckim, a nie o mnie.

Poznaliśmy się stosunkowo późno, choć Profesor Juliusz, jak go nazywaliśmy na Wydziale Historycznym Uniwersytetu Warszawskiego, „od zawsze” mnie ciekawił jako znawca wczesnych czasów nowożytnych, a zarazem jako historyk sztuki o szczególnie bliskim historykowi sposobie myślenia i zainteresowaniach. Czytałem zatem z ciekawością i *Pompę funebris* – o sceneriach pogrzebowych oraz architekturze okazjonalnej, i kolejną bardzo ważną Jego książkę (notabene z analogiczną graficznie okładką, łatwo wpadającą w oko i w pamięć), zatytułowaną *Sztuka i polityka* – o historycznych związkach obu tytułowych pojęć oraz o wykorzystywaniu sztuki do polityczno-propagandowego oddziaływania za panowania Wazów. Przy czym w obu przypadkach towarzyszyła mi świadomość obcowania z ujęciem oryginalnym i nowatorskim oraz przekonanie, że warto kontynuować poszczególne wątki, wykorzystywać ciekawe sugestie i skojarzenia, których na kartach obu książek oraz bardzo licznych artykułów Profesora nigdy nie brakowało.

Jego teksty, ale także wykłady i prelekcje, jak choćby te o wolnych elekcjach, a dokładniej – o scenerii pola elekcyjnego i sieci dróg, które ukształtowały się w okresach politycznych przesileni związanych z wyborem nowego władcy, zapadały w pamięć i oddziaływały na wyobraźnię. Podobnie wnikliwe rozważania o obradach sejmowych i zjazdach sejmikowych, o ceremoniale dyplomatycznym, zmieniającym się zależnie od politycznego partnera i historycznego kontekstu, ale także o architekturze Warszawy, o Trakcie Królewskim i jego symbolach – w postaci Kaplicy Moskiewskiej (usytuowanej w bezpośredniej bliskości dzisiejszego Pałacu Staszica) oraz Kolumny Zygmunta, a także o wizji architektonicznej kontynuacji tego upamiętnienia króla Zygmunta III w postaci tzw. Forum Wazów, w rejonie dzisiejszego placu Zamkowego i Krakowskiego Przedmieścia. Wreszcie, rozprawy o literaturze okazjonalnej i towarzyszących jej ilustracjach, o poezji Michała Kazimierza Sarbiewskiego czy też wizjonerskie interpretacje wystroju i wyposażenia zamku Herburów w Dobromilu – a wymieniam tu tylko tematy oraz ujęcia najlepiej przeze mnie zapamiętane.

Jako pracownik Wydziału Historycznego odnotowałem też rzecz jasna dziekańskie funkcje Juliusza Chrościckiego oraz, choć ten epizod znam tylko z drugiej ręki, kierowanie przezeń uniwersyteckim centrum polonistycznym w Paryżu, ale – pomimo wspomnianej wydziałowej wspólnoty – bliższą znajomością bym tego nie nazwał.

Taka znajomość, a potem stopniowe, ale konsekwentne zaprzyjaźnienie, pojawiło się dopiero w bieżącym stuleciu. Byłem wtedy najpierw prodziekanem WH, a potem prorektorem UW, co było bardzo ciekawe, ale też bardzo absorbujące. Pochłonięty wtedy nowymi obowiązkami, starałem się jednak nie zapominać

o swojej podstawowej profesji, Juliusz zaś (bo już teraz: Juliusz), pełen intelektualnego wigoru po powrocie z Paryża, najwyraźniej był otwarty na nowe kontakty.

Należał do tych profesorów uniwersytetu, którzy ani na chwilę nie zapominają o swoich naukowych pasjach; których łatwo można spotkać na uczelnianym dziedzińcu, siedzących na ławce, zatopionych w uczonej rozmowie na jakiś ważki temat. Ta obserwacja, jako pochodząca głównie z Krakowskiego Przedmieścia, dotyczy być może tylko humanistów. W każdym razie w przypadku Juliusza chodziło z reguły o najszerzej pojmowaną kulturę nowożytną (od nowości wydawniczych aż po dokonania wystawiennicze, widziane w perspektywie doprawdy światowej), a także – bo to go także niezmiernie interesowało – o współczesną recepcję dawnych dokonań. Toteż szybko się okazało, że mamy wspólne tematy oraz fascynacje. Pod Jego wpływem zainteresowałem się bliżej ikonografią towarzyszącą aktywności politycznej w czasach staropolskich – ceremoniałem dworskim i dyplomatycznym, symbolami państwa oraz jego najważniejszych instytucji, scenerią sejmową i sejmikową czy też różnorodnymi, niekiedy finezyjnymi narzędziami propagandowego oddziaływania; wzbogaciło to także moją dydaktyczną ofertę.

Z tego czasu zapamiętałem, że Juliusz pojawiał się nagle, niezapowiedziany (w konwencji *deus ex machina*) i zawsze z jakimś darem, niekoniecznie materialnym: z książką, której lekturę właśnie postanowił mi zasugerować, z kserokopią artykułu, z jakimiś cennymi, a mocno już sfatygowanymi wypisami źródłowymi, które właśnie wygrzebał z przepastnych czeluści swojego garażu przy ul. Styki 5, z programem wersalskich wystaw o dworach czy też o podróżach, a nawet z gotową koncepcją zilustrowania książki, którą właśnie przygotowywałem do druku. Starałem się także być użyteczny – zachęcany do wspólnego planowania kolejnych konferencji, seminariów czy też opracowań i edycji, do zastanawiania się nad sensem niektórych fragmentów źródłowych, do przełamywania trudności organizacyjnych.

Wśród historyków sztuki (niech mi będzie wybaczone to uogólnienie, zapewne powierzchowne) dostrzegam dość wyraźny podział: na własny użytek wyodrębniam takich, którzy koncentrują swoją uwagę na dziełach artystycznych, na artefaktach i na ich formie, na pięknie, ideowej wymowie, przesłaniu, na wzajemnych zależnościach stylistycznych. Odrębną zaś grupę, jak mi się wydaje, stanowią ci, bliżsi historykom i historykom kultury, którzy większą wagę przywiązują do epoki i dziejowego kontekstu oraz szczególnie wysoko cenią sobie szczegół biograficzny oparty na archiwaliach. Juliusz, chętnie przyznający się do tradycji Władysława Tomkiewicza, ewidentnie należał do tych drugich. Był przy tym, jeśli idzie o predyspozycje intelektualne oraz stosowaną metodologię, zdecydowanie interdyscyplinarny (co nam wszystkim zaleca się dziś aż do znudzenia).

Licznych na to dowodów dostarczyło Jego wieloletnie szefowanie półrocznikowi „Barok. Historia – Literatura – Sztuka”, który osobiście zaliczam do najciekawszych współczesnych inicjatyw akademickich w zakresie humanistyki, a który nigdy nie został dostatecznie doceniony w ministerialnych rankingach. Bo też Juliusz, jak mało kto, potrafił „wymyślić” numer, czyli dość precyzyjnie określić jego tematykę oraz dobrać kompetentnych autorów, no i namówić ich do pisania. Natomiast do zabiegania w ministerialnych gabinetach o adekwatną punktację, a także o sfinansowanie kolejnych numerów (tu stale obowiązywała niezrozumiała dla mnie prowizorka), to On już głowy nie miał. A jednak był zmuszony wszystkie te techniczno-organizacyjne zadania podejmować i – chcąc nie chcąc – robił to skutecznie przez wiele lat, bo tak naprawdę pismo „Barok”, grupujące przede wszystkim literaturoznawców, historyków, historyków sztuki i muzykologów, było Jego oczkiem w głowie.

O ludziach mówił tylko dobrze, co nie jest przecież takie częste. Nie sądzę co prawda, żeby pozytywnie myślał o wszystkich, ale negatywnych opinii – przynajmniej w mojej obecności – z zasady nie wyrażał.

W sprawach publicznych bardzo się różniliśmy. On – żarliwy katolik, z wielce zaciętą z tego punktu widzenia, a przy tym starannie kultywowaną tradycją rodzinną oraz szerokimi kontaktami; konserwatysta, wielbiciel tradycyjnych wartości, powściągliwy w sądach, słowem: człowiek o poglądach pravicowych (cokolwiek to dziś oznacza); ja natomiast – bliski socjaldemokratycznemu centrum, ceniący liberalizm, tak w gospodarce, jak w życiu społecznym, no i raczej *freddo cattolico* (takim właśnie mianem „chłodnego katolika” w dawnej Rzeczypospolitej nuncjusze papiescy określali polityków, którzy w swojej działalności przedkładali potrzeby państwa nad interes swojego Kościoła).

Owe różnice, najogólniej mówiąc światopoglądowe, prowadziły do częstych między nami sporów, ale były to spory doraźne, bo wynikały z różnej, niekiedy skrajnie różnej oceny bieżących wydarzeń oraz postaci występujących na scenie publicznej – zarówno w roli aktywnych polityków, jak też komentatorów. Nasze dyskusje, jakkolwiek dziwnie by to dziś nie zabrzmiało, były toczone w atmosferze przyjaźni i z niezmienną serdecznością. No i w najmniejszym stopniu nie rzutowały na zawodową lojalność oraz wzajemne zaufanie.

Wyrazem tego było seminarium, które już od pewnego czasu prowadziliśmy wspólnie w Instytucie Historii Sztuki UW, z przyjemnością testując w ten sposób sensowność dialogu historyka i historyka sztuki. Nie potrafię ocenić atrakcyjności tych zajęć z perspektywy studentów, choć odnosiłem wrażenie, że byli taką formułą zaciekawieni. A przecież każdy, kto zna uniwersyteckie realia, zapewne się zgodzi, że nie jest to wcale takie proste; ale zarazem, że warto taki trud podejmować, bo w dydaktyce akademickiej $1 + 1 > 2$ (czyli, opisując ten wzór słowami: profesor dodać profesor to więcej niż dwóch profesorów).

Tych zajęć już nie będzie, nad czym głęboko ubolewam.

I bardzo mi smutno.

Wojciech Tygielski
Wydział Nauk o Kulturze i Sztuce UW
Warszawa, 29 stycznia 2024 r.